

Władza, sukces i co dalej

[Tytuł nadany przez Redakcję - R.S.]

RYSZARD STEMPOWSKI

Gazeta Wyborcza nr 72, wydanie z dnia 26/03/2002 ŚWIAT, str. 8-9

Dziś prezydent Aleksander Kwaśniewski odwiedzi Wielką Brytanię. Jaki jest bilans rządów Tony'ego Blaira - pisze b. ambasador RP w Londynie

Dokonania premiera Blaira są niezaprzeczalne, lecz wydaje się, że jego mandat jest mocniejszy niż jego odwaga. Szczyt powodzenia ma zapewne za sobą. Chyba że obudzi się w nim intuicja - wówczas mógłby pociągnąć swój kraj w stronę Europy i zostać euroatlantyckim liderem - pisze RYSZARD STEMPOWSKI *

Lista zapisów na badania i zabiegi szpitalne miała ulec poważnemu skróceniu przez nadprogramowe przyjęcie stu tysięcy pacjentów i została skrócona. Liczba dzieci w najmłodszych klasach miała zostać zmniejszona do 30 i została. Liczba młodych bezrobotnych na zasiłku miała ulec zmniejszeniu o ćwierć miliona i została. Okres między zatrzymaniem a osadzeniem małoletnich recydywistów miał zostać skrócony o połowę i został. Miało dojść do zniesienia dziedzicznych miejsc w Izbie Lordów i doszło. Itd., itd. Aż 55 takich celów sformułowanych przed wyborami w 1997 r. zostało zrealizowanych.

Wszystkich było aż 177. Z oceną większości sprawa nie jest prosta, bo jak zwykły człowiek ma sprawdzić wiadomość, że zrealizowano 99 proc. celów programu poprawy usług? Zresztą oceny Blaira nie wolno sprowadzać do weryfikacji wyborczych haseł.

Premier Blair, kiedy zetknąłem się z nim osobiście, zrobił na mnie wrażenie podobne jak John F. Kennedy, choć w 1962 r. byłem naiwnym studentem, a spotykając Blaira, miałem już za sobą wiele pouczających klęsk.

Blair przywiązuje wagę do zaznaczania dystansu. U Blaira czuje się skupienie, także

jakąś bezwzględność

czy może po prostu wyraźne dążenie do uzyskania założonego efektu i rzeczowość. Dobrze się z nim rozmawia, ale też od razu widać, że dla niego wszystko jest polityką - polityka jest we wszystkim. Rozumie funkcję mediów.

Wypowiada się zwięźle i bez piętrowych dygresji, jakby gotowymi cytatami dla mediów, ale to po prostu esencja, esencja i często

dyrektywa. Jego ministrowie, a właściwie wszyscy posłowie Partii Pracy, mają mówić publicznie tym samym jego językiem. Jego sformułowań nie muszą szukać daleko - w gazecie czy telewizji - od czego był dla niektórych początkowo obowiązkowy pager? Mogą to zresztą sprawdzić, telefonując do premiera, czyli na centralę obsługującą Downing Street 10, a ta już znajdzie szefa, gdziekolwiek w świecie byłby w tym momencie - naturalnie, jeżeli ktoś, kto o takich połączeniach decyduje, uzna to za pożyteczne dla premiera.

Pewien polityk Partii Pracy z tylnych ław poselskich powiedział mi wkrótce po wyborach w 1997 r., że "Tony zaprowadził stalinizm". O "stalinizmie" Blaira zaczęli przebąkiwać dziennikarze.

Wzięło się to z tego, że Partia Pracy dokonywała wielkiego zwrotu właśnie pod kierunkiem Blaira. Prezentowanie polityki było - i jest nadal - newralgicznym narzędziem sterowania. Blair chciał - i musiał - być jedynym sternikiem. W takim stopniu, w jakim ta teza jest prawdziwa, oznacza ona, że głównym celem Blaira jest władza. Osiągnął ją poprzez przyłączenie się do Partii Pracy.

Partia Konserwatywna miała już wtedy charakter oligarchiczny. Nie to jednak było jej największą wadą. Wszak wiadomo, że oligarchia umie się odnawiać. Tymczasem konserwatyści kostnieli. Na konferencjach partyjnych w okresie 1994-99 przeciętny wiek delegata oceniałem na 65 lat. Konserwatystom brakowało wyobraźni. Gdyby jej mieli więcej, to wciągaliby do polityki młodych "Blairów" kilkanaście lat wcześniej. Na uniwersytetach brytyjskich nigdy nie brakuje ludzi wybitnie zdolnych i szykujących się do roli polityka, szczególnie w Oksfordzie. Blair mógł zostać konserwatystą. Już go słyszę, jak potem przemawia o roli Brytyjczyków w Unii Europejskiej, ale nazwy tej nie wymienia, i twierdzi, że wspólny rynek jest najlepszym (chce powiedzieć: zupełnie wystarczającym) sposobem na osiągnięcie dobrobytu i nie ogranicza suwerenności! Blair miał wybór - mógł przystąpić do konserwatystów - został laburzystą.

Blair wstąpił do Partii Pracy, ponieważ

chciał odnieść sukces

jako polityk - szybko, niezwłocznie, a ponadto - i to jest ważne - w tym kierunku pchał go charakter. Przy tym Blair ma charakter przywódcy działającego z wielką energią. Przywódcy, mężowie stanu, stawiają sobie za cel przeprowadzenie reformy i myślą kategoriami wielkiej skali. Ta partia czekała na wielkie zmiany. Blair miał intuicję.

Od pewnego czasu liczebność robotników szybko malała, a to oni stanowili trzon laburzystowskiego elektoratu - związki zawodowe nie nadały za postępem technicznym, a to one formowały program i

kierowniczą grupę Partii Pracy; ideał znacjonalizowanej gospodarki brzmiał dziwnie po doświadczeniach wschodnioeuropejskich, a to on zapisany był w statucie. To miało ulec zmianie, "nowa" Partia Pracy miała to odrzucić.

Blair nie był pierwszy. Po przegranych wyborach w 1992 r. Neila Kinnocka zastąpił John Smith i to on zapoczątkował proces krytycznej samooceny w partii, ale dwa lata później zmarł.

Do stanowiska przywódcy aspirowało teraz dwóch przyjaciół - Tony Blair i Gordon Brown. Jeżeli Blair ma cechy charyzmatyczne, to Brown ma je w połączeniu z cechami intelektualisty i może łatwiejszym do zaakceptowania sposobem bycia. W obliczu wyborów przywódca Blair i Brown porozumieli się i w 1994 r. Brown ustąpił pierwszeństwa Blairowi.

Brown został po wyborach parlamentarnych 1997 r. ministrem finansów, człowiekiem numer dwa w rządzie. Premier miał żonę i dzieci, a Brown był kawalerem, wobec tego zamienili się mieszkaniami przypisanymi na Downing Street 10 premierowi i kanclerzowi. Wygląda na to, że ci politycy ufają sobie, dobrze się rozumieją i rozumieją swój wspólny interes. Ale czy to pewne? I ja- ki interes? Na ten temat dużo się spekuluje.

Za taktyką Blaira stoją analizy wewnętrznego kręgu laburzystowskich strategów. Najważniejszym z nich był Peter Mandelson, a obok niego Roger Liddle. Pomagali im analitycy, często młodzi. Po zdobyciu władzy rząd wprowadził wielu z nich na stanowiska doradców ministrów. Pozostają oni w cieniu ministra, ale mają na niego duży wpływ. Urzędnicy służby cywilnej patrzą na nich niechętnym okiem - to dla nich rywale, a nieraz po prostu bałaganiarze i rozpolitykowane oszołomy. Wszelako Blair nie mógłby się bez tych ludzi obyć, gdyż Partia Pracy obejmowała rządy z obawą o lojalność służby cywilnej, a ponadto doradcy ci prawdopodobnie pomagają utrzymać ministrów w kontakcie.

Gabinet, czyli brytyjska rada ministrów, podejmuje większość decyzji poprzez swoje komitety. Niektórym przewodniczy premier. Pod obrady gabinetu wnoszone są tylko sprawy naprawdę ważne i sporne z posiedzenia komitetu. Posiedzenia są dzięki temu bardzo krótkie. Naturalnie wielkie znaczenie ma przygotowanie ministrów, a to znów w znacznym stopniu zależy od klasy urzędników. Wysocy urzędnicy to są ci mandaryni, przed których manipulacjami podobno trudno się uchronić. Popularna audycja satyryczna pokazuje, jak sir Humphrey, cyniczny typ z Oxbridge - a jakże - wyrafinowany stały sekretarz stanu, a zatem najwyższy rangą urzędnik, owija sobie wokół palca "swego" ministra, który jest nieodmiennie portretowany jako naiwny półgłówek.

Zwycięstwo w wyborach z 1997 r. okazało się trudne do partyjnego zagospodarowania. Ministrowie wywodzą się wyłącznie z Izby Gmin i Izby Lordów. Partia Pracy uzyskała wtedy 417 z 659 miejsc w Izbie Gmin. Blisko 450 posłów i lordów mogło więc zostać ministrami, 200 chciało nimi zostać, tzn. wejść do gabinetu, albo otrzymać stanowisko ministra "do spraw", albo chociaż podsekretarza parlamentarnego, a tymczasem cała ministerialna "erka" liczyła wszystkiego sto osób (u nas mieliby kilkakrotnie większą szansę...). Blair nie może zwiększyć liczby tych stanowisk. Z jednej więc strony, rywalizacja jest kolosalna, a z drugiej - nie mniejsza jest frustracja zawiedzionych. W Izbie Gmin głosują zaś wszyscy. Głosują i mówią - nie wiadomo, co może się okazać dla rządu gorsze. Wprawdzie nieznane tam jest zjawisko zaobserwowane w Sejmie (widziałem, jak posłowie z ław rządowych reagowali na otrzymanie rządowego projektu ustawy - zaczynali od masakrowania tekstu poprawkami) - rząd brytyjski panuje nad swą większością, lecz wszystko wskazuje na to, że lepiej tam wygrywać wybory przewagą 80 mandatów niż 180.

Blair ma także

kłopoty z ministrami.

Weźmy Robina Cooka. To nad wyraz bystry polityk, wiedzą przypuszczalnie górujący nad większością członków gabinetu, jeszcze jako poseł w opozycji robił wrażenie precyzją wypowiedzi. Początkowo marzył o przywództwie w partii, potem aspirował do stanowiska ministra finansów, ostatecznie Blair uczynił go po wyborach 1997 r. ministrem spraw zagranicznych. I zaczęły się kłopoty. Najpierw pojawił się konflikt z urzędnikami, ponieważ Cook nie chciał czytać całego przygotowywanego dla niego materiału (każdy minister ma kuferek z materiałami z całego dnia, trzeba jego zawartość do następnego rana "przerobić") i miał kłopoty z podejmowaniem decyzji. Potem pojawiły się problemy osobiste. Pewnego dnia, tuż przed wejściem z żoną na pokład samolotu i odlotem na urlop, odebrał telefon z Cabinet Office informujący, co o nim następnego dnia napisze prasa. Cook natychmiast odwołał lot, zawiadomił żonę, że się z nią rozwodzi, po czym wrócił do biura. Gazeta ujawniła jego romans z sekretarką. Cook przetrwał na stanowisku, ale nie bez ran politycznych. Drukowane wspomnienia eksmałżonki też nie umocniły jego autorytetu. Ożenił się z ową sekretarką, ale kłopoty go nie opuszczały. Podczas wizyty w Indonezji zaszokował gospodarzy pouczeniami na temat praw człowieka. Podczas wizyty królowej w Indiach zaoferował niechciane w tym kraju pośrednictwo w sporze z Pakistanem o Kaszmir. W późniejszym czasie zirytował Izraelczyków, odwiedzając osiedla palestyńskie. Wreszcie Blair przeniósł go na stanowisko szefa frakcji w Izbie Gmin. Cook podobno bardzo to przeżył, ale wydaje mi się, że Blair znalazł najlepsze zastosowanie dla jego wiedzy i osobowości. Casus Cooka i tak był mniej groźny od pachnącego korupcją zamieszania wokół Mandelсона...

W porozumieniu z rządem Republiki Irlandzkiej Blair doprowadził do rokowań i zawarcia w kwietniu 1998 r.

porozumienia w Irlandii Północnej.

Już po jego zawarciu rozmawiałem z przedstawicielami Sinn Fein. Cała rozmowa zmierzała do przekonania mnie o pokojowym nastawieniu Sinn Fein, ale krótka uwaga rzucona spontanicznie przez ich przedstawicielkę uświadomiła mi jaskrawo, że ani IRA, ani Sinn Fein broni łatwo nie oddadzą. Po niedawnej rozmowie z przewodniczącym Zgromadzenia Północnoirlandzkiego lordem Alderdice odnoszę jednak wrażenie, że coś ruszyło z miejsca.

Porozumienie z 1998 r. zakłada rozwinięcie czegoś, co wydało mi się kondominium brytyjsko-irlandzkim na terytorium Irlandii Północnej. To się tak urzędowo nazywać nie może, ale w tę stronę sprawy zmierzają, a przynależność Republiki Irlandzkiej i Zjednoczonego Królestwa do Unii Europejskiej i tak z czasem rozwiąże problem. Suwerenna obecność brytyjska w Irlandii Północnej nie ma tam w obecnym kształcie długiej przyszłości - choć nie zabraknie pewnie tragicznych wydarzeń, podstawowe reguły państwa demokratycznego zostaną w końcu ugruntowane. Wysilek Blaira i jego ministrów ds. Irlandii Północnej przynosi wyniki.

Inaczej wyglądało zapoczątkowanie

autonomizacji Walii i Szkocji.

Zgodnie z powszechnymi oczekiwaniami Labour Party stała się w nowo utworzonym zgromadzeniu walijskim i przywróconym po prawie 300 latach parlamencie szkockim najważniejszą partią, lecz wbrew prognozom nie uzyskała w pierwszych wyborach (1999 r.) bezwzględnej większości i została zmuszona do rządzenia w koalicji z Liberalnymi Demokratami. Opozycję stanowią walijska Plaid Cymru (PC) oraz Szkocka Partia Narodowa (SNP). I w Walii, i w Szkocji zaszkodził laburzystom silnie scentralizowany system kierowania partią przez Blaira, lecz jeszcze ważniejszą przyczyną było wprowadzenie ordynacji proporcjonalnej. PC nie wysuwała postulatu niepodległości. Taki postulat wysuwała cały czas SNP, zapowiadając rozpisanie referendum w sprawie niepodległości Szkocji, lecz trzeba pamiętać, że szkockim narodowcom chodzi o niepodległość w obrębie UE, przy zachowaniu wspólnego z Anglią monarchy. SNP nie była jednak partią przygotowaną do odegrania roli przywódczej - jej kierownictwo nie potrafiło zaprezentować dobrze opracowanego programu gospodarczego, przywódcy potępili natowskie działania w stosunku do Jugosławii, jej kadry były nieliczne.

W rezultacie zwiększyła się dynamika procesu państwowotwórczego w Szkocji, a nawet w Walii (gdzie dotychczas zaznaczał się nacjonalizm kulturalny i coś w rodzaju organicznikowskiego pozytywizmu z nastawieniem na współpracę z Anglikami), wzmocnieniu uległo dążenie do federalizmu i decentralizacji, a także do powołania organów władzy specyficznie angielskich (w nowej sytuacji tylko Anglia nie ma swoich organów przedstawicielskich i wykonawczych). Mieszkańcy Irlandii Północnej zobaczyli, ile tracą wskutek braku porozumienia, zmałał zapał laburzystów do wprowadzenia ordynacji proporcjonalnej w wyborach do Parlamentu Zjednoczonego Królestwa. Autonomizacja byłaby zatem kolejnym etapem pozbawiania Anglii statusu imperium. Smith zaklinał się, że Szkocja wyjdzie ze Zjednoczonego Królestwa po jego trupie. Blair nic o tym nie mówi - prowadzi autonomizację i to jest jednym z jego najważniejszych dokonań.

Kiedy Blair mówi o Europie, mówi o Unii Europejskiej. Kiedy Anglik mówi o Europie, ma zwykle na myśli kontynent, a nie swoją wyspę u brzegów tak pojmowanej Europy. To są stereotypy, ale stereotyp nie bierze się z niczego. Blair ma ambicje odegrania roli

przywódcy europejskiego.

Buduje w ten sposób odniesienie do Unii Europejskiej i do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Kiedy rok temu na konferencji w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych ówczesny poseł Longin Pastusiak polemizował z twierdzeniem, że Polska jest amerykańskim koniem trojańskim w Europie, profesor Laurence Whitehead z Oksfordu także się dziwił: "Po co tym Amerykanom dwa konie?".

Za prezydentury Clintona wydawało się, że Blair wysuwa się nawet przed niego, gdyż nie był niczym osobiście obciążony. Także Claire, żona Blaira, matka trojga dzieci i prawnik z dochodami dużo wyższymi od premierowskich, niewykłana w nic dwuznacznego, wypadła w porównaniach lepiej od żony Clintona.

Po ataku na USA z 11 września Blair stylizował się na pierwszego partnera Busha. Okazuje się teraz jednak, że nawet pierwszy partner jest dobrym partnerem, dopóki nie wyraża wątpliwości. Kiedy w Londynie zainteresowano się losem Afgańczyków (kilku z nich miało paszport brytyjski) uwięzionych w bazie USA na Kubie, a minister spraw zagranicznych Jack Straw próbował bagatelizować ostre antyirackie deklaracje Busha, sugerując, że są obliczone na użytek wewnętrzny USA, pozycja Blaira w Waszyngtonie osłabła. Kłopot stąd dla Blaira podwójny, ponieważ w kraju niejedną mu już przedtem zarzucał, że przedkłada swą rolę przywódcy światowego nad rolę premiera.

Znaczenie Zjednoczonego Królestwa w NATO jest większe, niż to się wydaje, choćby ze względu na rolę lorda Robertsona, ścisłą współpracę

wywiadu z wywiadem USA, zatrudnienie Brytyjczyków w Kwaterze Głównej NATO. Dodajmy, że w Zjednoczonym Królestwie znajduje się ponad 40 proc. kapitału amerykańskiego zainwestowanego w UE, a większość kapitału brytyjskiego za granicą to kapitał w USA.

Rząd Blaira podkreśla, że z USA wiązą Brytyjczyków "wspólne korzenie i wspólny cel" i że "nie ma dla Zjednoczonego Królestwa ważniejszych stosunków niż ze Stanami Zjednoczonymi". Jednocześnie Blair chciałby wprowadzić swój kraj do "serca Europy". Serce to bije w Brukseli, ale Bruksela stała się dla brytyjskich eurosceptyków symbolem zagrożenia suwerenności. Nie do pomyslenia jest dla nich ograniczenie roli parlamentu brytyjskiego czy rezygnacja z funta - już i tak odebrano im cale i uncje.

Co do funta, to wydaje mi się, że Blair z Gordonem już dawno sprawę przesądzi. Kierunek na euro jest wyraźny. Decyduje interes ekonomiczny i dlatego City i przedsiębiorcy są zasadniczo za euro. To nie będzie decyzja partyjna, ale w wyborach parlamentarnych będzie się liczyć przez długie lata i dlatego Blair jest ostrożny w słowach.

Pozornie Blair nie może się zdecydować co do wspólnej polityki obronnej UE. Obrona jest przecież ważną funkcją państwa, a instytucjonalizowanie funkcji państwa w UE jest w Wielkiej Brytanii (i nie tylko tam) tematem tabu. Jeżeli jednak przyjmujemy, że Blair jest za przyjęciem euro, to logicznie musi być i za wspólną obroną. Tym bardziej że znaczna część zakupów uzbrojenia będzie dokonywana w ZK. Z drugiej jednak strony nie sposób przeoczyć faktu, że choć państwa UE wydają na zbrojenia dwie trzecie tego co USA, to europejski potencjał jest wielokrotnie mniejszy od potencjału USA, a to m.in. wskutek rozproszenia. Ewentualna centralizacja mogłaby zatem prowadzić do zmniejszenia wydatków i tym samym popytu na brytyjską produkcję zbrojeniową. Ważną rolę musi więc odgrywać u Blaira taktyka, ale czy to znów takie niezwykłe u polityka?

Nie uważam za posunięcie taktyczne jego przemówienia w Warszawie w 2000 r. Postulował w nim raczej położenie większego nacisku na zawieranie porozumień między poszczególnymi rządami niż uchwalanie regulacji w Brukseli, proponował utworzenie drugiej izby Parlamentu Europejskiego (w składzie powoływanym przez parlamenty krajowe), przestrzegał przed rozszerzeniem zakresu decyzji podejmowanych większością głosów, a nie jednomyślnie.

Ocena laburzystowskiego przywódcy nie może ominąć problemu redystrybucji dochodu na rzecz grup najbiedniejszych. W ciągu 18 lat rządów konserwatywnych średni dochód na głowę mieszkańca wzrósł o 40 proc. Jednocześnie wzrosły różnice między grupami najlepiej i najgorzej sytuowanymi. Rząd Blaira popełnił w tej dziedzinie na początku wielkie błędy, ale ostatecznie spowodował, że po pięciu latach

od wprowadzenia reformy fiskalnej przyrost dochodów wynosi w przypadku dolnych 10 proc. ludności ponad 9 proc., a w wypadku najwyższych 10 proc. spadł o jeden procent. Ta reforma nie polegała jednak na zasadniczej zmianie systemu opodatkowania na niekorzyść uzyskujących najwyższy przychód, lecz na rozdzieleniu "nowych pieniędzy", czyli nadwyżki uzyskanej ze wzrostu ekonomicznego. Wprawdzie zyskało na tym 40 proc. ludności, ale nie była to klasyczna redystrybucja. Sprzyjało to utrzymaniu nowo pozyskanej klasy średniej w orbicie partii. Z pewnością wyborczy sukces Partii Pracy nie wziął się jednak przede wszystkim z przyciągnięcia klasy średniej. Laburzyści uzyskali mniej głosów niż konserwatyści w roku 1992. Po prostu w 1997 r. wielka grupa tradycyjnie głosujących na konserwatystów nie poszła do urn. Ukuta tuż przed wyborami filozofia "New Labour" miała swoje znaczenie, gdyż ukazywała

partię zasadniczo centrową,

nastawioną na modernizację (m.in. postulat zniesienia dziedziczości miejsc w Izbie Lordów), ale bez socjalistycznych haseł nacjonalizacyjnych i redystrybucyjnych, z dystansem do związków zawodowych, niemającą dwuznacznych kontaktów z "wielkimi pieniędzmi", pełną młodych przywódców i promującą kobiety kandydujące w bezprecedensowo znacznej liczbie do Izby Gmin.

Kolejne wybory w 2001 r. przyniosły Partii Pracy 410 mandatów (większość 165 głosów). Ludzie chcą więc "trzeciej drogi" Blaira, a może po prostu nie widzą drogi innej. Jeżeli francuską prezydenturę zdobędzie Jospin, a Schroeder utrzyma się u władzy, trzy najważniejsze państwa UE będą rządzone przez socjaldemokratów. Bardzo silna pozycja Blaira ułatwi mu głębsze zakotwiczenie Zjednoczonego Królestwa w UE i wniesienie wkładu w jej rozwój.

Dwa wielkie zwycięstwa wyborcze nie powinny jednak przesłonić faktu, że apatia wyborcza rośnie i maleje zaufanie do polityków. Blair musi się liczyć z tym, że choć stale ma wysoką pozycję w rankingach,

nie ma u wyborców kredytu nieograniczonego.

Zjednoczone Królestwo miało pełnić funkcję przywódcy w Unii Europejskiej i nie pełni. Polityka zagraniczna miała mieć wymiar etyczny i nie ma. Laburzystowski rząd miał wprowadzić kraj na "trzecią drogę" i nie wprowadził. Korupcja miała zostać wyeliminowana ze sfery polityki i nie została. Rządząca partia miała dać przykład wewnątrzpartyjnej demokracji i nie dała. Itd., itd. Żadna z tych porażek nie jest katastrofą. Nawet wszystkie one pospołu - a na pełną listę nie ma tu miejsca - nie oznaczają klęski. Jednakże Blair dopiero zaczął swą drugą kadencję. Negatywne konto będzie rosło, a ludzie u władzy, jeżeli sprawują ją długo, tracą wrażliwość. Jakże często nie są w stanie uchwycić

momentu, od którego wszystko zaczyna się staczać po równi pochyłej. Jeżeli nawet niebezpieczeństwo wyczują, zwykli posługiwać się półśrodkami. Podczas kampanii wyborczej w 1997 r. pewien laburzysta zachwalał reformy jako działanie stopniowe i odpowiedzialne, przeciwieństwo rewolucji, lecz tak się w krytyce zastanego stanu rozpędził, że dziennikarze zapytali go, czy zamierza też likwidować lewostronny ruch. "Naturalnie - kontynuował polityk - ale stopniowo, proszę panów, stopniowo".

Dokonania Blaira są niezaprzeczone, lecz wydaje mi się, że jego mandat jest mocniejszy niż jego odwaga. Jeżeli tak jest, to szczyt powodzenia ma już za sobą. Chyba że obudzi się w nim intuicja. Ale w którą stronę miałby teraz pójść? Łatwiej pytać, niż odpowiadać, ale jednak odpowiem:

Powinien przesuwać pewną wyspę w stronę najbliższego jej kontynentu, nadać wszystkim więcej impetu w rozszerzaniu UE i odegrać wyraźniejszą rolę w budowie wspólnoty euroatlantyckiej.

** Dr hab. Ryszard Stemplowski jest dyrektorem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, profesorem SGH, b. szefem Kancelarii Sejmu (1990-93), b. ambasadorem RP w Londynie (1994-99)*

[podpis pod fot./rys.]

Blair dba o wizerunek polityka bliskiego ludziom. Na zdjęciu: wałkuje ciasto podczas wizyty w szkole w Manchesterze w ubiegły piątek

RYSZARD STEMPOWSKI

[autor fot./rys] AP
RP-DGW

Tekst pochodzi z Internetowego Archiwum Gazety Wyborczej. Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie i rozpowszechnianie w jakiegokolwiek formie bez odrębnej zgody Wydawcy zabronione.

Archiwum GW 1998,2002,2004